

Dziki Zachód – Dziedzictwo pokoju?

16 września 2013

Sto lat temu Dzikie Zachód oraz proces zadomowiania i amerykańskiej, jaki toczył się na ziemiach na zachód od rzeki Missisipi, postrzegano jako triumf amerykańskiej przedsiębiorczości, pomysłowości i odwagi; jako akt silnej woli, którego realizacja wymagała ciężkiej pracy, wytrwałości, a przede wszystkim ducha niezależności i indywidualizmu.

Jednakże w ciągu kilku dekad od ostatecznego zasiedlenia Pogranicza (jak to określił Frederick Turner w 1890 r.) owe poglądy uległy drastycznej zmianie. Dawniej Dzikie Zachód postrzegano jako inspirowane opatrnością szerzenie amerykańizmu, lecz w połowie XX wieku podchodzono do tej kwestii już bardziej ambiwalentnie. Dziś natomiast stosunek do Zachodu nacechowany jest wyraźną wrogością i przekonaniem, jakoby jego społeczeństwo było (i jest) pełne przemocy, mordercze i chaotyczne. Mówi się nam obecnie, iż Zachód, po przybyciu białego człowieka, stał się krainą sadystycznych morderców Indian, psychopatycznych przestępców i wyrzutków, którzy porzucili spokojniejszy żywot w starych, dobrych i cywilizowanych wschodnich Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Niezależnie od ich przychylnego bądź krytycznego stosunku do Zachodu, pisarze, twórcy filmowi, a nawet historycy nigdy nie wahali się raczyć nas mnogością obrazów mordowania Indian, wędrownych przestępców bądź szalonych wyrzutków. Pomimo tego dawniejsi twórcy zwykli jednak ukazywać takie zachowania jako sporadyczne, natomiast z biegiem lat zaczęto prezentować je jako typowe dla wszystkich mieszkańców Zachodu.

Takie podejście odnosi się w dużym stopniu do sposobu przedstawiania tubylczych Amerykanów (i innych popularnych obecnie mniejszości) w filmach, jak Mały Wielki Człowiek

(1970) i Tańczący z wilkami (1990). Ukazano w nich obraz sielankowego, idealnego świata zburzonego przez barbarzyńskich Amerykanów, którzy ogołocili kraj i jego mieszkańców ze wszystkiego, co dobre i przyzwoite, wyniszczając przy tym nie tylko tubylców, ale także samych siebie.

Nie ma wątpliwości, iż rdzennie amerykańskie plemiona ucierpiały niebotycznie z rąk rządu i quasi-rządowych organizacji dążących do „ucywilizowania” Zachodu. Jednakże uporczywe w ostatnich latach skupianie się na owych morderczych czynach stanowi wyraz szerszego problemu, tj. kształtowania współczesnych poglądów na temat Dzikiego Zachodu. Sednem tego problemu jest dążenie do przekonania Amerykanów, że Dzikie Zachód był immanentnie brutalny, niesprawiedliwy i nie nadawał się do zamieszkania przez cywilizowanych ludzi. Zarzut ten kieruje się obecnie nie tylko wobec prowadzących podbój band żołnierzy, lecz także wobec zwykłych osadników, ojców, mężów i właściwie każdego.

Weźmy choćby film Bez przebaczenia z 1992 roku. Czasem nazywany „anty-westernem”, pokazującym Zachód jako miejsce pełne impulsywnej przemocy i chaosu, gdzie prawo i porządek są nagminnie łamane przez skorumpowanych szeryfów, mściwych łowców nagród oraz brutalnych kowbojów.

W ostatnich latach ów obraz Zachodu jako ojczyzny nadzwyczaj sadystycznej i częstej przemocy stał się popularnym tematem badań, czego przykładem są prace Glendy Riley „A Place to Grow: Women in the American West” i Clare V. McKannay „Homicide, Race, and Justice in the American West, 1889-1920”. Oba opracowania opierają się właśnie na owym brutalnym obrazie Zachodu, utrwalonym przez hollywoodzkie filmy, dodając doń rewizjonistyczny opis niechlubnej przemocy, której sprawcami są pijacy i „kultura broni”.

MIT BRUTALNOŚCI POGRANICZA

Przekonanie, że przemoc była osią życia na Pograniczu, jest

już od dawna popularne. Jednakże to, czy postrzegamy ową przemoc jako bohaterską czy bezsensowną i tragiczną, często zależy od tego, kto pisze scenariusze i książki.

Spostrzeżenia tego dokonał niedawno William Handley w swojej książce „Marriage, Violence, and the Nation in the American Literary West”. Handley zauważa, że przemoc od zawsze była nieodłączną częścią literatury i filmów o Dzikim Zachodzie, jednakże istnieje różnica między sposobem ujmowania tego zagadnienia kiedyś a dziś. Nowsze opisy owej przemocy mają bowiem na celu podkreślenie krzywd wyrządzanych różnym grupom, podczas gdy intencją dawniejszych autorów, jak Willa Cather i Zane Grey, było zilustrowanie konieczności stosowania przemocy w procesie cywilizowania dzikiego i nieujarzmionego kraju.

Oczywiście, wraz z nastaniem postmodernizmu w latach 1960., tradycyjne uzasadnienia tłumaczące zasiedlanie Zachodu utraciły niemal wszystkich swoich obrońców. W ciągu ubiegłych trzydziestu lat reputacja Dzikiego Zachodu bardzo ucierpiała.

Tak więc, chociaż wyjaśnienia stosowania przemocy zmieniały się na przestrzeni dekad, przekonanie, iż była ona powszechnym modus operandi osadników, pozostało nietknięte. Mimo to, od lat 1970. badania wykazywały, iż prawdopodobnie obie strony sporu o przemoc na Dzikim Zachodzie były w błędzie. Z wyjątkiem wojen z Indianami pod koniec XIX wieku, za które odpowiada rząd Stanów Zjednoczonych, okazuje się, że rzekomo immanentna brutalność Dzikiego Zachodu w żaden znaczący sposób nie była większa niż ta na wschodzie kraju.

Historyk Richard Shenkman tłumaczy obecny stan wiedzy potocznej oddziaływaniem niezmiennie pełnych przemocy westernów. „W rzeczywistości więcej osób zginęło w hollywoodzkich westernach niż na prawdziwym Pograniczu. (...) Przykładowo, w całej historii niewielkiego Dodge City jako miasta leżącego na Dzikim Zachodzie najwięcej zabójstw popełniono w roku 1878. Było ich tylko pięć, co z ledwością wystarczy, by wypełnić fabułę typowego dwugodzinnego filmu”.

Shenkman opiera swój komentarz na badaniach historyka W. Eugene'a Hollona, który podkreśla, że w wielu miejscach, takich jak Dodge City, opowieści o przemocy wyolbrzymiano, by pobudzić ruch turystyczny w ostatnich latach Pogranicza. Nietrudno to zrozumieć, gdy weźmiemy pod uwagę przejściową modę, jaką spopularyzowano pod nazwą „zachodniego lekarstwa” (jego zagorzałym zwolennikiem był proto-yuppie Theodore Roosevelt), a polegającą na uczestnictwie w trudnych wyprawach i polowaniach na Dzikim Zachodzie. Celem takich wypraw miało być bowiem zahartowanie męskości uczestników.

Hollon zawarł te wnioski w opublikowanej w 1976 r. książce „Frontier Violence: Another Look”, gdzie zbadał szereg wskaźników statystycznych, by ustalić rzeczywistą skalę przemocy na Dzikim Zachodzie. Mimo iż historycy do dziś starają się obalić jego pracę, ich rezultaty nie są rozstrzygające. W roku 1983 Robert Dykstra wzbogacił tezę Hollona analizą opublikowaną pod tytułem „Cattle Towns”. Opracowanie to skupiało się na przemocy w miastach w stanie Kansas, jak Abilene, Wichita i Caldwell, będących ośrodkami handlu bydłem. W powieściach oraz na srebrnym ekranie przedstawiane są one jako miejsca częstych strzelanin. Tymczasem, jak wyjaśnia Dykstra, rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. W interesie owych miast leżało zagwarantowanie możliwie najbezpieczniejszych warunków do prowadzenia handlu – i tak też czyniono.

Niedawno ukazała się książka „Lethal Imagination: Violence and Brutality in American History” pod redakcją Michaela Bellesilesa (niesławnego autora „Arming America”). Zawiera ona szereg esejów, w których autorzy jeszcze bardziej przybliżają nam rozczarowującą prawdę, iż Zachód był znacznie nudniejszy, niż sugerują to filmy. W rzeczy samej, w świetle wszystkich tych badań określenie „Dziki” staje się niezbyt zasadne.

Wracając do Dodge City, ekscytacja przemocą na Dzikim Zachodzie jest przesadna. W latach 1870–1885 we wszystkich dużych miastach stanu Kansas, w których handlowano bydłem,

doszło w sumie do 45 morderstw. W samym Dodge City między 1876 a 1885 r. zginęło 15 osób, średnio 1,5 rocznie. Deadwood w Dakocie Południowej oraz Tombstone w Arizonie (miejsce strzelaniny przy O.K. Corral) w najgorszych latach odnotowały odpowiednio cztery i pięć morderstw. Nie wydaje się też, by skala przemocy w formie bezprawnego wymierzania sprawiedliwości (tzw. wigilantyzmu) była znacząco większa.

Jak podają Dykstra i Richard M. Brown, kodeks prawa stanu Kansas zezwalał burmistrzom na powoływanie straży obywatelskiej spośród mężczyzn w wieku 18–50 lat, jednakże wygląda na to, iż – przynajmniej w Kansas – rzadko korzystano z tej możliwości. W ciągu 38 lat w Kansas istniało tylko 19 grup straży obywatelskiej, z rąk których padło 18 ofiar śmiertelnych. Ponadto, między 1876 a 1886 w Dodge City nikogo nie zlinczowano ani nie powieszono nielegalnie.

Jako że dzięki rozdmuchanej reputacji Dzikiego Zachodu można było zarobić na poszukiwaczach przygód, nie powinno zaskakiwać, że nie tylko w Dodge City zmyślano ekscytujące opowieści o strzelaninach. Miasta, jak Tombstone, Abilene i Deadwood, również mają swoje historie o rewolwerowcach. Jeśli jednak przyjrzymy się bliżej zapisom historycznym, przekonamy się, że rzeczywistość nie była nawet w przybliżeniu tak ekscytująca. (Więcej na ten temat w: „The Not So Wild Wild West” Terry’ego Andersona).

Skoro powieści i filmy nie są wiarygodne, to czego w takim razie możemy dowiedzieć się na podstawie udokumentowanych aktów przemocy na Zachodzie? Z pewnością przypadkiem, który natychmiast rzuca się w oczy jako kwintesencja krwawych potyczek owego okresu, jest wojna w hrabstwie Lincoln z lat 1878–1881. Rzecz działała się na południu Nowego Meksyku, skutkując pokaźną liczbą trupów. Mimo to liczba zabitych była nieznośnie niska jak na standardy hollywoodzkie.

Jak wiele podobnych waśni na Pograniczu, wojna w hrabstwie Lincoln również zaczęła się od sporu o ziemię, eskalując do

gwałtownego konfliktu po kilku podejrzanych posunięciach ze strony władz. Wojnę wywołał spór prawny między hodowcami bydła L.G. Murphy'm i J.J. Dolanem – mającymi monopol handlowy w hrabstwie dzięki koneksjom z przedstawicielami rządu federalnego oraz armią w Fort Stanton – a Alexandrem McSweenem, Johnem Tunstallem i Johnem Chisumem, którzy w 1877 r. zaczęli ów monopol podkopywać dzięki przychylności władz lokalnych.

W rezultacie Murphy i Dolan, polegając wciąż na rządowych przysługach celem eliminacji konkurentów, zdołali ostatecznie legalnie przechytrzyć McSweena, którego aresztowano mocą nakazu prokuratora okręgowego. Szeryf William Brady otrzymał nakaz zajęcia mienia należącego do McSweena i jego partnera, jednakże gdy Tunstall złożył broń, oddział szeryfa zastrzelił go z zimną krwią, rozpoczynając w ten sposób najbardziej krwawy etap wojny.

Świadkiem tego morderstwa był młodzieniec William H. Bonney, znany jako Billy the Kid, którego Tunstall wziął wcześniej pod swoje skrzydła. Billy Kid przysiągł pomścić śmierć Tunstalla. W roku 1881 przeciwko McSweenowi ściągnięto wojsko, a w trakcie strzelaniny, do której doszło na jego posesji (dom spalili ludzie szeryfa), zginął szeryf Brady, kilku zastępców, McSween i sześciu jego kompanów włącznie z Billy Kidem.

Niestety, kiedy kurz po owej krwawej połodze zdążył opaść, wydarzenie to owiano znacznie wyolbrzymiającą fakty legendą. Władze dowiodły, że Billy Kid – powszechnie postrzegany jako najbardziej krwiożerczy uczestnik wojny w hrabstwie Lincoln – zabił trzy osoby. Powszechnie uważa się jednak, że mógł zabić nawet dwukrotnie większą liczbę osób, ale, biorąc pod uwagę okoliczności, trudno stwierdzić, w jaki sposób Kid zyskał reputację „psychopatycznego mordercy” oraz skąd wzięły się historie, jakoby „w wieku 21 lat miał już na swoim koncie 21 ofiar”.

Wiele zamieszania, jak tłumaczy Richard Shenkman, wywołały

filmy. Filmy przedstawiające wojnę w hrabstwie Lincoln, takie jak Chisum z 1970 r. (Billy ukazany w nim został jako raczej sympatyczna postać) czy Młode strzelby z 1988 r. (tu Billy jest bardziej szalony), z oczywistych powodów koncentrują się na przemocy. Nawet pomimo wysokiej (jak na standardy ówczesne i obecne) liczby ofiar śmiertelnych, wydarzenia pokroju wojny w hrabstwie Lincoln, nie były codziennością, a jeśli już, to uczestniczyli w nich skorumpowanymi urzędnicy i kowboje, których niewiele obchodziła śmierć kompanów poniesiona z rąk bezwzględnych zastępców szeryfa.

W jaki sposób rzutuje to na postrzeganie Pogranicza jako w istocie niecywilizowanego i skrajnie nieprzyjaznego miejsca, jeszcze się okaże. Film Chisum ukazał przynajmniej bój jednostki z państwem i bandytami, pozytywnie odnosząc się do ideału człowieka samodzielnego. Ale przemoc zawarta w owym filmie, jak i setkach innych jemu podobnych, trwale odcisnęła w umysłach Amerykanów obraz brutalnego Dzikiego Zachodu. Niestety, w ciągu ostatnich dekad obraz ten przeistoczył się z gloryfikującego amerykański patriotyzm niemal całkowicie w horror.

TRADYCJA I WOLNOŚĆ ZACHODU

To, czy Pogranicze było miejscem widzianym przez kogokolwiek jako wartym zamieszkania, ma wielkie znaczenie dla historii amerykańskiej wolności. Istotną i wybitną cechą Dzikiego Zachodu było oczywiście to, że w mniejszym bądź większym stopniu samoistnie dążono tam do utrzymania porządku. W większości stanowił on luźną konfederację gmin i lokalnych rządów, połączonych wspólnymi interesami i niepewną lojalnością wobec odległego rządu federalnego, który nie tylko na początku ledwie dawał o sobie znać, ale i później jego obecność nie wyrastała ponad niewielkie oddziały kawalerii.

Innymi słowy, było to dość libertariańskie społeczeństwo, w którym ciężar władzy politycznej spoczywał na szczeblu lokalnym, działalność gospodarcza była niemal nieskrępowana

przepisami, a ochrona własności prywatnej leżała zazwyczaj w gestii właścicieli.

Pogranicze było miejscem, do którego udawano się, by robić pieniądze, a jeśli komuś się powiodło, zostawał tam. Ci, którzy nie odnieśli sukcesu, wracali na Wschód. Niewątpliwie wielu ludzi zmarło przykrą śmiercią w wyniku chorób, wypadków i innych nieszczęść, jednakże takich ewentualności mógł spodziewać się każdy, kto w XIX wieku wyruszał w podobną podróż, niezależnie od miejsca.

Najważniejszą kwestią jest jednak to, czy ludzie na Dzikim Zachodzie mieli gorsze perspektywy wzbogacenia się oraz czy byli bardziej brutalni i barbarzyńscy niż ich bliźni w wyżej „ucywilizowanych” częściach świata. Gdyby udało się udowodnić, że rzeczywiście tak było, wtedy łatwiej można by przekonać Amerykanów, iż duży rząd, interwencjonizm i agresywny aparat policyjny to słuszne idee. Niewątpliwie właśnie taki cel od długiego czasu przyświeca krytykom społeczeństwa Dzikiego Zachodu.

Zasiedlanie Zachodu było jednym z najbardziej odgórnie nieukierunkowanych, spontanicznych i swobodnych procesów tego typu od starożytności. Wszystkie współczesne państwa stanowiące niegdyś część szeroko pojmowanego Pogranicza (tj. Australia, Kanada i Ameryka łacińska) zasiedlali, głównie ze względów ekonomicznych, odważni imigranci, pragnący stawić czoło nieznanym krainom. Jednakże to właśnie zasiedlanie amerykańskiego Pogranicza odbywało się przy najmniejszym udziale państwa.

Erę karawan krytych wozów, tak mocno kojarzonych z osadnictwem na Dzikim Zachodzie, zapoczątkowali Mormoni, których motywowało zasadniczo poszukiwanie swobody religijnej. Zajmując nowe okolice, szybko otwierali tam sklepy, zapoczątkowując handel zarówno z Amerykanami na Wschodzie, jak i Meksykańskimi osadnikami na zachodnim wybrzeżu (a także z Indianami). Wiele Amerykanów ruszyło na równiny ku bogactwom

opisywanym w przewodnikach po Oregonie i Kalifornii, a początek nasilenia się tej migracji przypada na 1849 r., gdy w Kalifornii odkryto złoto. W 1850 r. szlakiem wiodącym do Kalifornii sunęły już dosłownie tysiące wozów, nierzadko jeden tuż za drugim.

Powstawały całe przedsięwzięcia biznesowe, pomagające podróżnym dotrzeć do celu oraz zaopatrujące ich w potrzebne dobra już na miejscu. Zapotrzebowanie na zwiadowców, przewodników, ekwipunek, poradniki i woźniców chyżo zaspokajali entuzjastyczni przedsiębiorcy. Podczas gdy rządowi geodeci, jak Charles Fremont, promowali i wspomagali tworzenie map Zachodu, właściwego osadnictwa dokonywali mężczyźni i kobiety, szukający lepszego życia w nowym kraju. Innymi słowy, cywilizację przywieźli na Dzikie Zachód prywatni obywatele, przedsiębiorcy i prywatni stróże prawa.

Jak stwierdził Louis L'amour, wiele karawan zorganizowanych było niczym nieduże armie z własnymi mundurami, które nadawały im wygląd „oddziałów wojskowych”. Było to zrozumiałe, bowiem na równinach osadnicy mogli liczyć tylko na siebie, gdy chodziło o obronę przed bandytami, Indianami lub członkami własnej grupy. A jednak amerykańskie Pogranicze stało się źródłem fortuny tysięcy farmerów, ranczerów, górników, kupców i innych przedsiębiorców gotowych służyć klientom – i to bez „pomocy” federalnych nadzorców, policji czy pracowników społecznych. Osady pojawiały się niczym grzyby po deszczu, gdziekolwiek zaistniała możliwość zarobku.

Inaczej niż w przypadku rządowo planowanych pogranicznych posterunków należących do brytyjskich i hiszpańskich kolonii, miasteczka amerykańskiego Pogranicza składały się często z kilku rozklekotanych budynków i latryny (jeśli miało się szczęście). Oczywiście tam, gdzie można było zarobić, docierała również cywilizacja. Dziś, dla kontrastu, interesujące przykłady efektów państwowego planowania możemy zaobserwować na Syberii, gdzie Sowieci (a przed nimi carowie) zaangażowali mnóstwo zasobów, próbując zasiedlić wschodnie

tereny swego kraju.

Nadal istnieją tam niszczące osady, lecz są one jedynie świadectwem porażki w dążeniach do zasiedlenia kraju bez udziału przedsiębiorców, bankierów, duchownych i innych, których wymaga budowanie cywilizacji od zera. Osadnictwo na Dzikim Zachodzie było nieplanowane, nieregulowane i zasadniczo wolne od całego paternalizmu, jaki rozrasta się dziś w całym świecie zachodnim.

WOJNA SECESYJNA I PRZEMOC NA WSCHODZIE

Pod wieloma względami wojna secesyjna fundamentalnie zmieniła sposób, w jaki odbywało się zasiedlanie Pogranicza. Wojna wpłynęła na osadników, gospodarkę, a zwłaszcza na rząd federalny, który w końcu posłał swoich żołnierzy, by przypomnieć o sobie na Dzikim Zachodzie. Mimo iż osadnictwo trwało nadal, wojna – skłoniwszy wiele rodzin (zarówno tych z Północy, jak i z Południa) do powrotu na Wschód – znacznie je spowolniła.

W rezultacie mieszkańcy małych pogranicznych miast, jak Denver, spierali się o to, czy powinni identyfikować się z Północą, czy z Południem. Flagi Unii zastępowano flagami Konfederacji, by po minucie znów je zamienić. W wielu miejscach przyjmowano jako kryterium to, czy większość mieszkańców danego miasta pochodziła ze stanów północnych, czy południowych. Nieszczęśników, którzy znaleźli się po stronie przegranej, nierzadko wypędzano z miast. Jednakże do zabójstw dochodziło głównie na Wschodzie, a gdy wojna wreszcie się skończyła, powracający osadnicy ujrzeli skalę przemocy, jakiej nigdy nie doświadczyli na Pograniczu.

W konsekwencji na powojenny Zachód wrócili ludzie, którzy bezpośrednio brali udział w zabijaniu bliźnich. Tak jak nie zaskakuja nas już wieści o przemocy domowej w bazach wojskowych bądź o tym, że Timothy McVeigh i snajper John Allen Muhammed wyszkoleni zostali w amerykańskiej armii, możemy

zatem wnioskować, iż weterani wojny secesyjnej wracający na Pogranicze przyczynili się do wzrostu przemocy w tamtejszym społeczeństwie.

Dane wskazują, iż w wielu miejscach kraju liczba brutalnych przestępstw wzrosła po wojnie o 50 procent. Zachód nie był na to uodporniony. Nie możemy jednak stwierdzić, iż w owym czasie ta wyjątkowa brutalność cechowała jedynie Pogranicze. Jako że weterani wracali również na Wschód, przemoc wzrosła w porównywalnym stopniu w obu częściach kraju. Biorąc pod uwagę konflikty etniczne na zubożałym Południu i w zatłoczonych miastach Północy Pogranicze było relatywnie spokojne.

Największą jednak zmianą na Zachodzie było nagłe pojawienie się zahartowanej w boju i dobrze wyekwipowanej kawalerii, którą republikańscy prezydenci wysyłali, by oczyścić ów kraj z Indian. Weterani wojny secesyjnej przynieśli ze sobą brutalność i skuteczność, o jakich nie słyszano przedtem. Po czterech latach zabijania Południowców, kawalerzyści uczestniczący w wojnach z Indianami oczyścili drogę osadnikom, lecz jednocześnie ustanowili federalny aparat władzy, który przetrwał aż do dziś.

Do tego okresu Pogranicza z pewnością pasuje wyjaśnienie Williama Handleya o nacjonalistycznych przyczynach przemocy na Zachodzie, co również wielokrotnie przedstawiono – zarówno pozytywnie, jak i negatywnie – w niezliczonych powieściach i filmach.

Mimo to ostoją prawdziwego osadnictwa na Dzikim Zachodzie nie byli żołnierze ze strzelbami, ale kowale, nauczyciele i właściciele saloonów. Żołnierze federalni mogli wymordować wszystkich Indian między Missisipi i Pacyfikiem (co w pełni pasowałoby takim „bohaterom” wojennym i pogromcom Indian, jak generałowie Sherman i Sheridan), ale koniec końców to nie armie zasiedliły Zachód. To prywatni obywatele zbudowali miasta, wykopali kanalizację i transportowali dobra, by umożliwić wszystkim przyzwoity żywot.

RZĄD NA RATUNEK

Bardzo często modelowym przykładem dawnej nacjonalistycznej oraz współczesnej anty-nacjonalistycznej mitomanii jest ukazanie osadnika jako ofiary. Z racji swej wszechstronności temat ten jest nośny fabularnie, a oprócz tego nadaje się na narzędzie propagandy. Przykładowo, „The Tall Stranger” Louisa L’amoura opowiada o zaprawionym w bojach rewolwerowcu, który ratuje karawanę zwiedzioną przez oszusta (jest to zasadniczo historia „Donner Party” opowiedziana na nowo i ze szczęśliwym zakończeniem). Bardziej znane Za garść dolarów (1964) i Siedmiu wspaniałych (1960) opierają się na podobnej dynamice (oba wzorowano też na filmach Akiry Kurosawy, w których wędrowni samuraj ratował zastraszonych wieśniaków przed bandytami).

Prawdopodobnie najbardziej wyróżniającym się spośród filmów o żałosnych wieśniakach jest W samo południe (1952) z Garym Cooperem, bezowocnie próbującym zebrać oddział celem odparcia najazdu bandytów. Pod koniec filmu szeryf Will Kane (Cooper), obrzydzony brakiem odwagi wśród mieszkańców miasta – „do tego stopnia pozbawionego honoru, że nie wartego ochrony” – rzuca swą gwiazdę na ziemię.

Historyk filmowy Thomas Doherty stwierdza, iż „centralnym oszczerstwem” zawartym w owym filmie była sugestia, jakoby „Dziki Zachód był pełen bezwartościowych tchórzy”. Oczywiście, owi tchórzliwi mieszkańcy zaniepokojeni są bardziej wartością swoich nieruchomości i nudnym robieniem interesów niż wyrównaniem rachunków z bandziorami. Rządowy szeryf jest bohaterski, a lokalni kupcy to tchórze. Jest to formuła, która szczególnie dobrze sprawdza się w anty-korporacyjnych produkcjach, jakie wchodzi do kin obecnie, ale szczególnie ujemnie rzutuje ona na obraz Dzikiego Zachodu jako domniemanej ostoji indywidualistów.

Większość pisarzy i filmowców nie ma interesu w przekonywaniu ludzi, iż Zachód był surową krainą uciśnionych, jednakże

propagowany przez nich wizerunek jest kluczowy dla sposobu, w jaki Amerykanie postrzegają dziś zasiedlanie Pogranicza. Celowo czy nie, wizerunek ten stał się ważnym elementem rewizjonistycznych dążeń do ukazania Zachodu jako brutalnej areny, na której tylko silni przetrwają, a słabych czeka żałosny koniec. Badania, jak te Rileya i McKanna wspomniane wcześniej, odwołują więc naturalnie do tej części amerykańskiej psyche, dla której ceną życia w wolnym kraju jest przemoc i chaos.

Tak więc, przemoc – początkowo przedstawianej jako element Zachodniej tradycji służący pokonywaniu trudności w umacnianiu wpływu cywilizacji anglosaskiej na rzekomo barbarzyńskich Indian i Meksykan – z czasem zaczęto nadawać znamię symbolu wzajemnego ciemnienia się osadników. Zarówno w fikcji, jak i w pracach naukowych, utrwała się wizję kobiet i dzieci Dzikiego Zachodu jako nieszczęsnych ofiar obłąkanego społeczeństwa. Nowy paradygmat głosi, iż Zachód zasiedlony został przez wschodnich wyrzutków, a jedyne rozwiązanie tego horrendalnego stanu rzeczy to zaprowadzenie porządku przez biurokrację, policję i polityków ze Wschodu.

DZIAŁAJĄCA ANARCHIA

Dziki Zachód, niezależnie od tego, jak jest przedstawiany, stanowi dla Amerykanów mocny symbol i niewiele jest rzeczy bardziej archetypowych dla amerykańskiej tożsamości niż życie osadnika. Nie dziwi więc fakt, że od tak dawna trwa bitwa o to, czyją rację odnośnie do fundamentalnego wizerunku Ameryki uzasadniają owe symbole. Zarówno dla orędowników koncepcji Boskiego Przeznaczenia, jak i współczesnych zwolenników wizji osadnika-ofiary, przemoc była kluczowym elementem w opisywaniu życia na Dzikim Zachodzie.

Czy Zachód był miejscem, w którym ledwie dało się żyć, a dookoła roiło się od narwanych wykołajeńców, oszalałych Indian i tyrańskich kapitalistów? Większość dowodów wskazuje, że nie. Nikt nie stwierdzi z powagą, że ogół dziewiętnastowiecznego

społeczeństwa żył w luksusie, ale – jak wykazano – problem konfliktów etnicznych, zabójstw i przemocy domowej dotyczył Pogranicza w stopniu nie większym niż wschodniej części USA.

Podczas wojny secesyjnej, nawet gdy weźmiemy poprawkę na gęstość zaludnienia, w wyniku działań państwa zabito i zrujnowano więcej ludzi, niż mogłyby tego dokonać tuziny przestępczych band i mężów-oprawców na Pograniczu. Brutalne kampanie pod hasłem „Rum, Romanizm i Rebelia”, jakie prowadzono w miastach przeciwko katolickim imigrantom i białym Południowcom, imigranckie zamieszki przeciwko czarnym (jak w przypadku rozruchów przeciw poborowi w Nowym Jorku), spory między republikanami i demokratami, lincze, morderstwa w slumsach itd. to liczne przykłady rodzajów zagrożeń, z którymi można było zetknąć się w wielu miejscach dziewiętnastowiecznego świata.

Krytycy Dzikiego Zachodu bronią swego stanowiska, przekonując, iż gdyby gęstość zaludnienia na Zachodzie było równa tej na Wschodzie, przemoc per capita – biorąc pod uwagę socjopatyczne tendencje zachodnich osadników – byłaby niewątpliwie większa. Oczywiście, gdyby Pogranicze było jak Wschód, nie byłoby Pograniczem. Populacja na Zachodzie była niewielka i rozproszona (...). Wiele rodzin wolało w spokoju mierzyć się z trudnościami życia na Pograniczu, niż zmagać się z przemocą rozpowszechnioną w miastach wschodnich USA. Przynosząc ze sobą pomysłowość, wiedzę i rodziny osadnicy zasiali cywilizację tam, gdzie uprzednio w ogóle nie istniała.

Największym zagrożeniem dla przeciwników wolności, gdy dyskutujemy o Dzikim Zachodzie, jest to, iż wykazanie, że Pogranicze było spokojnym miejscem, dałoby mocny przykład samowystarczalnego społeczeństwa, istniejącego z dala od przytłaczającej maszynierii rządu, rozrastającej się z dnia na dzień w miastach na Wschodzie i w Europie.

Amerykańskie Pogranicze stworzyło handel, miasta, szkolnictwo i dobrobyt pomimo braku scentralizowanego i

zbiurokratyzowanego rządu, dając tym samym świadectwo siły jednostek pracujących wspólnie nad gospodarczym sukcesem. Dla zwolenników współczesnego państwa jest to problematyczna kwestia.

W rzeczy samej dzienna aktywność osadników dotyczyła w 90 procentach handlu, a więc była pokojowa, bowiem, jak zauważył Ludwig von Mises, ekonomiczna współpraca jednostek stanowi esencję pokoju, zaś podatki, regulacje, policyjność i wojny zrodzone przez państwo są esencją przemocy i przymusu.

Zanim Amerykanie przybyli na Zachód, Hiszpanie, Meksykanie, Indianie, Rosjanie i Brytyjczycy prowadzili tam już własny handel, eksplorację, górnictwo, układając sobie życie. Mężczyźni i kobiety zasiedlali Zachód z myślą o pokoju i ekonomicznej niezależności. Natomiast wraz z ambicją rządów stanowych nadeszły wojny przeciwko Meksykanom, Indianom, a nawet przeciwko niechętnym do współpracy Amerykanom (jak Mormoni), którzy szukali na Zachodzie życia wolnego od wtrącania się rządu i jego regulacji rodem z doskonale „ucywilizowanego” Wschodu.

Chociaż różne ekonomicznie, religijnie, etnicznie i kulturowo grupy zasiedlające Zachód toczyły spory i rywalizację o przestrzeń oraz gospodarczy sukces, utworzenia cywilizacji mogły dokonać jedynie jednostki niosące ze sobą szeroki wachlarz wiedzy, umiejętności, religii i ideologii. Mimo wielu różnic zawsze znalazło się coś, co łączyło owe jednostki. Jak ujął to historyk Carl Becker, kobiety i mężczyźni Zachodu nauczyli się, że pokładanie ufności w państwie było stratą czasu. Swe wysiłki najlepiej było lokować gdzieś indziej: „Chwile wahania i zwątpienia oraz skłonności do odkładania problemów na później są obce osadnikowi jako człowiekowi wiary. Wiary nie tyle w zewnętrzną siłę, ile w siebie, w szczęście i przeznaczenie; wiary w możliwość osiągnięcia tego, cokolwiek uzna się za nieodzowne”.

Oczywiście, wielu poniosło porażkę, próbując ułożyć sobie

pomyślnie życie na Dzikim Zachodzie. Jednakże żadne społeczeństwo, odkąd tylko narodziła się cywilizacja, nie mogło zaoferować nic więcej ponad samą możliwość odniesienia sukcesu. Życie w każdej epoce i miejscu obarczone było ryzykiem. Gdyby dziewiętnastowieczni Amerykanie mieli dostęp do technologii i medycyny, jakimi dysponujemy teraz, osadnictwo na Zachodzie byłoby bez porównania łatwiejsze, aczkolwiek nadal nie byłoby ono możliwe bez owych dzielnych jednostek, pragnących żyć w dziwnym i nieokiełznanym kraju, gdzie liczyć można tylko na siebie.

CHWALEBNA NUDA

Na nieszczęście pisarzy i filmowców, Dzikie Zachód był o wiele mniej ekscytujący, niż to nam od dawna wmawiano. Osadnicy doskonale o tym wiedzieli. Będąc w podeszłym wieku, Buffalo Bill Cody, jeden z najbardziej znaczących architektów naszego sposobu postrzegania Zachodu, przyznał otwarcie, że kłamał o swoich wyczynach, by zwiększyć sprzedaż swych powieści. W rzeczywistości podczas bitew z Indianami został ranny tylko raz, a nie 137, jak twierdził. Takie opowieści bez wątpienia są dziś popularne wśród Amerykanów, którzy wydają się coraz bardziej skłonni wierzyć niemal we wszystko, co dotyczy Zachodu, o ile jest to jednocześnie ekscytujące, brutalne i ponure.

Biorąc jednak pod uwagę wiele historii tych ludzi, którzy odnieśli sukces, przeszłość Zachodu to przede wszystkim ciężka praca, handel, znój i pokój. Pierwotni twórcy mitu Dzikiego Zachodu przekonywali, że zasiedlanie go stanowiło swoistą krucjatę; wojnę przekonanych o swej prawości legionów Amerykanów przeciw całej reszcie. W rzeczywistości nie było żadnych legionów, a napuszonej prawości było z pewnością niewiele.

Byli za to mężczyźni i kobiety, próbujący ułożyć sobie życie, działający według własnej woli i podążający za własnymi celami. Z drugiej strony propagatorzy nowej wiktymologii

Zachodu przekonują, że owe jednostki przyniosły ze sobą kompleks mesjasza i skłonność do przemocy, które nie miałyby racji bytu, gdyby ich „ucywilizowano”. Otóż bynajmniej, kompleks mesjasza, „Boskie Przeznaczenie” i przemoc od zawsze cechowały głównie umysły polityków, ekspertów, powieściopisarzy i reżyserów, z których żaden nie okiełznał nigdy ziemi surowszej niż własne podwórko.

Autor: Ryan McMaken

Tłumaczenie: Dawid Świonder

Źródło oryginalne: mises.org

Źródło polskie: [Instytut Misesa](http://InstytutMisesa.pl)

LITERATURA

1. Becker C., „Kansas” [w:] Guy Stanton Ford (red.), *Essays in American Thought* (Rahway, New Jersey: Henry Holt and Company, 1910), s. 85-115.
2. Bellesiles M.A., red. *Lethal Imagination: Violence and Brutality in American History*, New York: University Press, 1999.
3. Brown R.M., *Strain of Violence: Historical Studies of American Violence and Vigilantism*, New York: Oxford University Press, 1975.
4. Doherty T., „Western Drama, Cold-War Allegory”, [w:] *The Chronicle of Higher Education*, 13 września 2002.
5. Dykstra R.R., *The Cattle Towns*, Lincoln: The University of Nebraska Press, 1983.
6. Handley W., *Marriage, Violence, and the Nation in the American Literary West*, Cambridge University Press, 2002.
7. Hollon W.E., *Frontier Violence: Another Look*, Oxford University Press, 1976.
8. McKanna C.V., *Homicide, Race, and Justice in the American West, 1880-1920*, University of Arizona Press, 1997.

9. Monaghan P., „The Travelin' Western", [w:] The Chronicle of Higher Education, 13 grudnia 2002.
10. „At 100, the Western Still Spurs Scholars", [w:] The Chronicle of Higher Education, 13 grudnia 2002.
11. Riley G., A Place to Grow: Women in the American West, Harlan Davidson Press, 1992.
12. West E., „Wicked Dodge City", American History Illustrated, 1982, t. 17, nr 4, s. 22-31.